

opusdei.org

## **Bp Alvaro. Cz.6. Hiszpańska wojna domowa**

Kolejny fragment wspomnień Salvadora Bernala o Bp Alvaro del Portillo, pierwszym następcy św. Josemarii Escrivy. W 2004 r. rozpoczął się jego proces kanonizacyjny.

16-10-2007

1 września 1976 roku w Solavieya, tuż przed powrotem do Rzymu, podano do obiadu butelkę wina Cigales, przekazaną w podarunku z

Valladolid. Don Álvaro, chociaż zwykle nie pił wina, tego dnia chciał go spróbować, aby przypomnieć sobie swój pobyt w Cigales, gdzie został wysłany przez hiszpańską armię w styczniu 1939 roku, kiedy już dobiegała końca hiszpańska wojna domowa.

W momencie wybuchu konfliktu mieszkał z rodzicami i rodzeństwem. Román, Pepe i Paco szybko schronili się w różnych miejscach Madrytu. Natomiast Álvaro nadal mieszkał u rodziców. Tam powrócił z akademika przy ulicy Ferraz po południu 19 lipca 1936 roku na wyraźne polecenie Św. Josemaríi. Zachowując środki ostrożności wymagane przez rozsądek, prowadził dosyć normalne życie zgodnie ze swoim pogodnym i odważnym usposobieniem.

Utrzymywał normalny kontakt z Założycielem i pozostałymi członkami Opus Dei przebywającymi

w stolicy Hiszpanii, chyba że uniemożliwiały to wyjątkowe okoliczności.

Obok rodzinnego domu przy ulicy Conde de Aranda 16 znajdowała się szkoła przerobiona na koszary. Pewnego dnia Álvaro wrócił późno do domu i nie mógł otworzyć bramy. Wtedy zdecydowanie wszedł do sąsiednich koszar i poprosił o pomoc. Żołnierze będący na straży natychmiast mu pomogli. Słuchałem tej anegdoty z ust Álvaro w czerwcu 1976 roku. Nie określił daty, kiedy to się stało. Mogło nawet wydarzyć się trochę później, kiedy jego rocznik został powołany do wojska i zgodnie z prawem był dezercerem.

Nadal mieszkał przy ulicy Conde de Aranda do 13 sierpnia. Tego dnia wcześnie rano w mieszkaniu sąsiada Cristino Bermúdeza de Castro, syna bardzo znanego generała, zjawiono się kilku milicjantów . Jego żona zeszła

do mieszkania państwa Del Portillo wewnętrznymi schodami próbując ukryć parę wartościowych przedmiotów. Jednakże milicjanci przyszli prawie razem z nią i zrobili rewizję. Kiedy weszli do pokoju Álvaro, ten włożył sobie coś do ust i zaczął żuć. Pilar del Portillo uważa, że mogła to być lista jego przyjaciół z adresami i telefonami. Zapytali go krzyżując:

– A ty, co żujesz?

Álvaro odpowiedział z pewnością siebie:

– Papier.

Żaden z członków rodziny nie mógł się ruszyć z domu do pory obiadowej. Członkowie milicji starali się, żeby nie powiadomiono Cristino Bermúdeza de Castro. Udało im się go zatrzymać i po doraźnym procesie przed sądem ludowym został rozstrzelany tej samej nocy. Tego

samego dnia zatrzymano również Ramóna del Portillo, ojca Álvaro, i zabrano go w nieznanne miejsce.

W tej sytuacji Álvaro nie miał innego wyjścia niż szukać ucieczki. Wkrótce później przeniósł się z bratem Pepe do zacisznej willi po lewej stronie ulicy Serrano, wychodząc od Puerta de Alcalá. Była to własność przyjaciół rodziny. Właściciele umieścili tam papier z flagą Argentyny myśląc, że pomoże im to uniknąć niepokoju, chociaż w rzeczywistości dom nie był pod ochroną tego kraju.

Po kilku tygodniach Álvaro poczuł ciekawość, żeby dowiedzieć się, czy nadal znajduje się na liście płac Ministerstwa Robót Publicznych, gdzie pracował w momencie wybuchu wojny. Nikt go nie zwolnił a na dodatek mógł pobrać zaległe pensje. Wówczas przyszło mu na myśl coś, czego nigdy przedtem nie robił. Postanowił uczcić to w La

Mezquita, pobliskiej piwiarni znajdującej się na rondzie Alonso Martíneza, gdzie kończy się ulica Sagasta:

– Miałem umysł zaćmiony do tego stopnia, że nawet nie wszedłem do lokalu. Usiadłem spokojnie przy jednym ze stolików stojących na zewnątrz, wśród ludzi przechodzących chodnikiem. Nie przyszło mi na myśl, że w każdej chwili mogli zażądać ode mnie dokumentów a w takim wypadku natychmiast by mnie aresztowali.

Jednakże ten czyn okazał się opatrnościowy. Tam zobaczył go Álvaro González, ojciec José Maríi González Barredo, jednego z najdawniejszych członków Opus Dei. Álvaro González wyjaśnił mu, że przechowuje w domu Św. Josemaríę, bardzo blisko stamtąd, przy ulicy Caracas. Św. Josemaría trochę odpoczywał, bo nie mógł już

wytrzymać. Jednakże nie było możliwości ukrywania go tam na stałe, dlatego że portier nie był człowiekiem godnym zaufania.

– Wtedy – opowiadał don Álvaro del Portillo – bez zastanowienia odpowiedziałem: – W takim razie niech przyjdzie do mnie.

W ten sposób Św. Josemaría spotkał się z Pepe i Álvaro del Portillo w willi przy ulicy Serrano. Później znalazł się z nimi również Juan Jiménez Vargas, członek Opus Dei. Jednakże zaledwie po upływie trzech tygodni dowiedzieli się, że to mieszkanie również nie gwarantuje bezpieczeństwa. Zaczęli gwałtownie starać się o znalezienie innego schronienia. Parę dni później Álvaro towarzyszył Założycielowi, kiedy ten przeniósł się do domu profesora Eugenio Sellésa, przy ulicy Maestro Chapí 11, gdzie przebywał trzy dni.

Álvaro ostatecznie zamieszkał w lokalu ambasady Finlandii, gdzie pozostawał do pierwszych dni grudnia 1936 roku, kiedy poselstwo zostało zaatakowane przez milicję ludową. Uwięziono uciekinierów w więzieniu zorganizowanym w dawnej szkole Św. Antoniego Opata. Kiedy dowiedziała się o tym jego matka, poszła go odwiedzić, również po to, żeby zanieść mu jedzenie, które w owych dniach było niełatwe do zdobycia. Nigdy mu go nie przekazano.

Cierpiał tam wielki głód i znosił nieskończenie wiele upokorzeń. Opowiadał o tym, jak opisuje szczegółowo jego siostra Pilar, „z wielkim spokojem, bez urazy, ale z bólem z powodu tych ludzi, którzy dali się ponieść nienawiści”. Kiedy jego matce i siostrze udało się z nim spotkać, nalegał, żeby się nie przejmowały. „Przeżywał tę sytuację – kończy Pilar – z wielką pogodą



ducha, z owym wewnętrznym spokojem, który go charakteryzował”.

Álvaro rzadko mówił o tym okresie swojego życia. Jedną z tych niewielu okazji przydarzyła się w Cebu (Filipiny) pod koniec stycznia 1987 roku. Aby podkreślić konieczność miłowania i wspierania pokoju, odniósł się jednorazowo do prześladowań Kościoła w Hiszpanii rozpętanych podczas wojny domowej:

– Nie brałem udziału w żadnej działalności politycznej, nie byłem księdzem ani zakonnikiem, ani klerykiem, tylko studentem inżynierii. Wsadzono mnie do więzienia tylko dlatego, że pochodziłem z rodziny katolickiej. Nosilem wtedy okulary i pewnego razu podszedł do mnie jeden ze strażników – nazywano go Pietrow, rosyjskie nazwisko – przyłożył mi

pistolet do skroni i powiedział: jesteś księdzem, bo nosisz okulary. Mógł mnie zabić w każdej chwili. Nie zrobił tego, bo Bóg uważał, że mogę jeszcze wiele walczyć z diabłem albo nie byłem godny nieba. Było to coś straszego.

W styczniu 1992 roku na spotkaniu w Wiedniu z członkami Opus Dei znajdowali się Chorwat i Słoweniec. Trwały nadal następstwa poważnego konfliktu z wieloma ofiarami w ludziach, podczas którego zniszczono również wiele katolickich kościołów. Álvaro mówił obecnym o konieczności przebaczenia. I w tym kontekście opowiedział inne wydarzenie z więzienia w szkole Św. Antoniego Opata:

– Była tam kaplica, w której trzymano czterystu więźniów. Pewnego razu komunistyczny milicjant wszedł na ołtarz deptając go i włożył niedopałek w usta świętego.

Wówczas jeden z więźniów, którzy byli ze mną, wszedł na ołtarz i wyjął niedopałek. Natychmiast go zabito za to, że to zrobił. Była to niewiarygodna nienawiść do religii. A zatem należy umieć przebaczać.

Álvaro pozostawał w więzieniu do 29 stycznia 1937 roku. Wypuszczono go na wolność następnego dnia po procesie. Ponieważ nie mógł zostać przyjęty w poselstwie Meksyku, gdzie znajdowali się jego rodzice z najmłodszym rodzeństwem, szukał innego schronienia. Ostatecznie znalazł się w konsulacie Hondurasu z Założycielem i innymi członkami Opus Dei.

Nie ma potrzeby przywoływać ponownie wyrzeczeń i trudnych warunków więzienia połączonych z klimatem spokoju, wykorzystania czasu – tam oprócz nauki niemieckiego Álvaro zaczął się uczyć japońskiego – oraz

nadprzyrodzonego ducha, którego wyczuwano w tym niewielkim pomieszczeniu. Sceny te zostały opisane przez biografów Św. Josemaríi Escrivy, również dzięki ekspresyjnym rysunkom samego Álvaro, które precyzują organizację pomieszczenia w ciągu dnia i rozkład materaców w porze nocnego wypoczynku.

Jednym z najcięższych momentów dla Álvaro na tym etapie jego życia była śmierć ojca. Ramón del Portillo został zatrzymany w sierpniu 1936 roku a dopiero w początkach 1937 roku poinformowano rodzinę, że znajduje się w więzieniu w szkole Św. Antoniego Opata. Było tam tyle ludzi, bez możliwości kontaktu, że przez pewien czas ojciec i syn przebywali tam razem, ale się nie spotkali. Dowiedziawszy się o tym Clementina dołożyła starań wraz z ambasadą swojego kraju – Meksyku – aż udało jej się uwolnić męża.

Ukrył się wówczas w poselstwie Meksyku z Clementiną. Ramón przybył tam w bardzo trudnej sytuacji zdrowotnej. Doktor Calderín zdiagnozował gruźlicę krtani. Pomimo leczenia choroba ulegała zaostrzeniu.

W pierwszych dniach września 1937 roku matka poleciła Tere i Carlosowi, żeby powiedzieli o tym Álvaro, ukrytemu w konsulacie Hondurasu. Powiadomił on o tym Św. Josemarię Escrivá, który opuścił już to poselstwo i poruszał się z pewną swobodą po Madrycie, chociaż jego dokumenty nie były całkiem pewne.

Założyciel Opus Dei przybył natychmiast z kapłańską posługą do Ramóna del Portillo i udzielił mu Ostatniego Namaszczenia i Wiatyku przed wyjazdem z Madrytu w początkach października tego roku. Pilar del Portillo pamięta, że był ubrany w rodzaj fartucha, jaki noszą

sklepikarze albo lekarze. Dla zachowania pozorów, otwierając drzwi powitano go słowami: „A oto pan doktor”. Nosił Święte Oleje w strzykawce i Najświętszy Sakrament w bardzo małych korporałach, w damskiej papierośnicy owiniętą w futerał z flagą Hondurasu. Don Ramón doznał wielkiej pociechy.

Naturalnie Álvaro pragnął z całej duszy odwiedzić swojego ojca, którego nie widział od sierpnia 1936 roku. Jednakże Założyciel wyraźnie mu to odradził. Było nieostrożną rzeczą ryzykować wychodzenie z kryjówki bez odpowiednich dokumentów. Álvaro zgodził się z tym i chociaż wiele go to kosztowało, ofiarował Bogu to, że nie może towarzyszyć swojemu ojcu, kiedy jego stan się pogorszył i śmierć przyszła po niego 14 października. Św. Josemaría znajdował się już daleko od stolicy Hiszpanii.

Jak przyznaje Pilar del Portillo, „musiało to być bardzo trudne dla Álvaro”. Dodaje jednakże, że „każdy mógł nas wydać, na przykład, kucharka, która obsługiwała nas w poselstwie Meksyku, była z politycznego punktu widzenia bardzo skrajna i radykalna. Miała córkę o imieniu Mantequilla i mówiliśmy zawsze najmłodszemu, żeby nie powtarzali niczego z naszych rozmów tej dziewczynce, kiedy się z nią bawią, bo istnieje niebezpieczeństwo, że opowie to swojej matce i nas zdradzi”.

Po śmierci Ramóna rodzina del Portillo dokonała wielu starań i udało jej się wydostać z Madrytu i zamieszkać w Burgos.

Álvaro nadal mieszkał w konsulacie Hondurasu. Z Vicente Rodríguezem Casado, który przedtem krył się w poselstwie Norwegii, i Eduardo Alastrué planowali opuścić stolicę,

jeżeli uda im się zdobyć fałszywe paszporty z pomocą aktów urodzenia należących do osób posiadających inne obywatelstwo. Faktycznie zdobyli kubańskie świadectwa urodzenia, które przedstawili w konsulacie Kuby. Jednakże konsul nie przyjął tych papierów.

O wszystkich planach i staraniach poinformowali Isidoro Zorzano, który pozostał w Madrycie jako dyrektor, kiedy Założyciel wyjechał ze stolicy. Kiedy przedstawiali mu możliwość opuszczenia konsulatu, odpowiadał odmownie. Do momentu, kiedy pewnego dnia, już w 1938 roku, modląc się, spojrzął na mały krucyfiks, który miał w swoim gabinecie obok Najświętszego Sakramentu, i dowiedział się, że przejdą front 12 października. Kiedy Isidoro otrzymał to nadzwyczajne oświecenie od Boga, stawił się w poselstwie Hondurasu i dał im zielone światło na wyjazd, kiedy



tylko pomyślnie przeprowadzą różne działania.

Vicente, Eduardo i Álvaro zgłosili się na milicji, w różnych dniach i pod zmienionymi nazwiskami:

– Logicznie rzecz biorąc, powinniśmy byli trafić w różne miejsca. A jednak wysłali nas do tego samego pułku, do tego samego batalionu, do tej samej kompanii i do tego samego plutonu. To niewiarygodne! Było nas dwóch kaprali i jeden szeregowiec. Zapytali mnie: umiesz czytać?

Odpowiedziałem: trochę. I zapisali: półanalfabeta. I zrobili mnie kapralem. Nie miałem pojęcia o niczym, dlatego że jeszcze nie odbyłem służby wojskowej. Tego samego dnia, kiedy przybyliśmy na front, przeszliśmy na drugą stronę.

Álvaro używał kolejno nazwisk Pepe Portillo, Álvaro Rostillo, Juan Álvaro Cortillo. Ostatecznie wyznaczono go razem z Vicente i Eduardo do

kompanii dwudziestej pierwszej brygady, która wyruszyła z Madrytu na front 24 sierpnia. Do 12 października mnożyły się komplikacje, z których relację Álvaro zostawił w spisanej relacji zatytułowanej Z Madrytu do Burgos przez Guadalajarę. Zapisywał tam swoje żywe wspomnienia dotyczące opuszczenia Madrytu, z bardzo ekspresyjnym zdaniem o swojej postawie w owych okolicznościach: „Po drodze ludzie ciągle wróżą, jakie będzie miejsce przeznaczenia. Walencja, Estremadura, Guadalajara? Niewiele braliśmy udziału w rozmowie. Absolutnie nas to nie obchodzi, ponieważ wiemy, że bez względu na to, gdzie nas zaprowadzą, będzie to właśnie najlepsze istniejące miejsce na całym froncie, żeby przejść na drugą stronę”.

Znaleźli się w Anchuelo, niedaleko Alcalá de Henares, i w Fontanar,

jakieś dziesięć kilometrów od Guadalajary, skąd 9 października rozpoczęli marsz w kierunku frontu, mijając Razbonę i Tamajón, aż rozwinęli szyki w okolicach miasteczka o nazwie Roblelacasa. O świcie 11 października Álvaro, Vicente i Eduardo uciekli z punktu w pobliżu Campillo de las Ranas. Osiągnęli szczyt Ocejón i szli później dalej wzdłuż koryta rzeki Sonsaz. Następnie przeszli rozlewisko rzeki Sorbe. Nocowali w jaskini. Następnego ranka weszli na inny szczyt. Z wysoka dostrzegli w oddali miejscowość, nad którą górowała wieża kościoła. Bardzo szybko usłyszeli bicie dzwonów wzywających po raz pierwszy na mszę o dziewiątej w Święto Najświętszej Maryi Panny z Pilar. Oznaczało to, że znajdują się w strefie wojsk narodowych, natomiast miejscowość nazywała się Cantalojas. Uczestniczyli w sumie po tak długim czasie ukrywania się.

Później rozpoczęli swoje zeznania przed władzami wojskowymi i dzięki interwencji ojca Vicente, pułkownika, 14 października w nocy przybyli do Burgos.

Tymczasem Założyciel Opus Dei nadal pracował w Burgos i działał z Burgos. 1 sierpnia wysłał list do Isidoro Zorzano. Używając przenośni w celu zmylenia cenzury pocztowej pisał: „Wielce umiłowany Panie i Przyjacielu! Otrzymałem list od mojego syna Iñasi [potwierdza odbiór ostatniego listu samego Isidoro Zorzano] z dnia 15 lipca i spieszę powiadomić Pana, że bardzo się ucieszyłem, dlatego że powiadomiono mnie, iż trzech moich wnuków [trójka, która szykowała się do opuszczenia Madrytu] wsiądzie na pokład, aby spędzić ze mną pewien okres, ponieważ opóźnia się mój powrót do naszego kochanego kraju”.

W kilka tygodni później dowiedział się w sposób nadprzyrodzony, że przekroczą front 12 października, w święto Najświętszej Maryi Panny z Pilar. Natychmiast powiadomił o tym Clementinę. Pedro Casciaro i Francisco Botella pamiętali Założyciela w dniach 12 i 13 października – spokojnego, zadowolonego, pewnego siebie. 14 października ponownie powiedział im: „Zawiadomię was w koszarach, kiedy przyjdą”. Otrzymali wezwanie o ósmej wieczorem.

Álvaro spędził dwa ostatnie tygodnie października i pierwszy tydzień listopada u boku Założyciela Opus Dei oczekując przydziału wojskowego. 10 listopada wstąpił do Akademii Tymczasowych Chorążych Inżynierów, znajdującej się w Fuentes Blancas, parę kilometrów od Burgos. Tam spędził Boże Narodzenie 1938 roku.

Pomimo niesprzyjających okoliczności zawsze, kiedy mógł, uczestniczył we Mszy Świętej. Tuż po zapisaniu się na kurs poprosił pułkownika o pozwolenie na udawanie się co rano do kartuzji w Miraflores. Podanie musiało być tak niezwykle, że pułkownik wyraził zgodę, ale nie chciał być w to zamieszany. Gdyby Álvaro został dostrzeżony przez żandarmerię wojskową albo musiał się tłumaczyć przed oficerami z innych jednostek, pułkownik „o niczym nie wiedział”... Oprócz odległości do kartuzji Álvaro musiał pokonać surową pogodę zimową w Burgos, bardzo wczesną godzinę – wracał tuż przed pobudką – a gdyby tego było mało, niebezpieczeństwo spotkania z wściekłymi psami. Dlatego nosił ze sobą pistolet. Jednakże jego dobry przykład nie pozostał niezauważony, zaś jego praca apostołska przyniosła wyraźne owoce. W kilka tygodni później pod koniec kursu nie chodził

na Mszę sam. Towarzyszyło mu około trzydziestu kolegów.

W pierwszych dniach stycznia 1939 roku został skierowany do Cigales, w pobliżu Valladolid. Zadaniem pułku była odbudowa mostów zniszczonych podczas wojny.

Wysłano tam również Vicente Rodrígueza Casado. Kilkakrotnie do tej małej kastylijskiej miejscowości przybywał Św. Josemaría Escrivá de Balaguer, żeby odwiedzić ich obu. Po raz pierwszy 13 stycznia 1939 roku, kiedy przybył i pojechał z powrotem w tym samym dniu. Innym razem Álvaro jeździł konno do Valladolid, żeby spotkać się z Założycielem.

Owego 1 września 1976 roku w Asturii Álvaro opowiedział to, co miało się wydarzyć w marcu 1939 roku, w sobotę po południu. Nie potrafił podać dokładnie, czy chodziło o 11, czy o 18 marca.

Przebywał z nimi wówczas w Cigales

Założyciel Opus Dei. Mieszkali u Manuela Alcalde, człowieka w wieku już zaawansowanym, właściciela winiarni, o dobrej pozycji finansowej. Enrique, jego młodszy krewny – nie zapamiętałem dokładnego stopnia pokrewieństwa: brat albo szwagier – poczuwał się w obowiązku, aby podejmować ich z ścią kastylijską gościnnością. Álvaro wspominał go jako bardzo dobrego człowieka, pragnącego ich zadowolić, który nazywał swoją pracę (a był cyrulikiem) małą chirurgią. Uparł się, żeby zaprowadzić ich do winiarni, aby zjedli trochę szynki podlanej dobrym winem tej ziemi i oczywiście nie mógł za nic zrozumieć, że ten młody ksiądz odprawia intensywne cielesne praktyki pokutne obejmujące również post w soboty, tym bardziej w okresie Wielkiego Postu. Św. Josemaría powiedział jasno, że oni dwaj mogą jeść z całym spokojem, ale nie udzielił dyspensy od postu samemu sobie, pomimo że



zachęcali go do tego ze względu na czas wojny. Álvaro i Vicente nalegali myśląc o głodzie, jaki cierpiał, i o tym, jak bardzo wychudł. On jednak odmawiał wytrwale. Odezwał się wówczas tamten człowiek pragnąc powiedzieć coś delikatnego:

– Niech panowie nie nalegają – zwrócił się do Álvaro i Vicente – dlatego że ja jestem przyzwyczajony do obcowania z ludźmi tego rodzaju i kiedy mówią, że nie, to znaczy, że nie.

Spełniając obowiązki wojskowe Álvaro nie przestał wykorzystywać czasu na studia cywilne i naukę języków. Z Burgos wysyłano mu czasopisma po niemiecku i po angielsku i próbowano również zdobyć książki, żeby uczył się dalej japońskiego. Za radą Św. Josemaríi napisał do ambasadora, który przebywał wówczas w San Sebastián. 25 stycznia 1939 roku otrzymał

odpowiedź od poselstwa japońskiego wraz z różnymi broszurami i obietnicą przesłania mu w przyszłości słownika, jeżeli uda się go zdobyć. Dostał również list od dominikańskiego misjonarza, autora słownika, z informacjami niezbędnymi do tego, żeby go zlokalizować i nabyć.

W miarę jak pozwalały na to jego obowiązki wojskowe, Álvaro starał się być bardzo blisko Założyciela, który przybył do Madrytu 28 marca 1939 roku. Następnego dnia Álvaro mógł mu towarzyszyć. Po południu jego mundur oficera wojska ułatwił zadanie wyeksmitowania jednego z żołnierzy, którzy nielegalnie zajęli dom stowarzyszenia dobroczynnego Św. Elżbiety i zamierzał tam pozostać.

Po zakończeniu wojny Álvaro był nadal zmobilizowany jak wielu innych. Został skierowany do

Figueras, a później do Olot, w pobliżu granicy z Francją. Misją jego pułku była nadal naprawa łączności drogowej. W samej Katalonii podczas wojny wysadzono w powietrze ponad tysiąc mostów.

Tam spełniał swoje obowiązki wojskowe nie zaniedbując pobożnych praktyk ani troski o przyjaźń z towarzyszami. W wolnych chwilach chodził z przyjaciółmi odwiedzać chorych w szpitalach. Kiedy dostawał przepustkę, spotykał się ze Św. Josemarią, jadąc do miasta, gdzie ten ostatni przebywał. Nie przejmował się godzinami podróży, trudnościami i niewygodami typowymi dla okresu powojennego.

I tak w pierwszych dniach czerwca 1939 roku, dzięki przepustce udzielonej mu przez wielkiego przyjaciela Fernando Delapuenta, który nie zwlekał długo z prośbą o przyjęcie do Opus Dei, przybył do

Walencji, dlatego że Św. Josemaría miał prowadzić kilkudniowe rekolekcje dla studentów w siedzibie akademika Bł. Jana de Ribera w Burjasot. Spędził dwa czy trzy dni prawie nie śpiąc. Jednakże Álvaro zdecydował się wykorzystać ten czas na miesięczne rekolekcje. Chociaż usiadł w pierwszym rzędzie, a ławki w kaplicy nie miały oparcia, po dziesięciu minutach zasnął. W wiele lat później opowiadał o tym Założyciel kończąc:

– Bardzo mnie to rozbawiło, dlatego że sen tego mojego syna, w tamtym czasie, był modlitwą, która podobała się Bogu.

Pewnego dnia tego samego roku, w dopiero co otwartym akademiku przy ulicy Jenner – w związku z tym nie mogło to być wcześniej niż w drugiej połowie lipca – Pan przekazał Św. Josemaríi Escrivá wiadomość, że jeden z jego synów przeżywa trudną

ludzką sytuację, zewnętrzną, nie wewnętrzną. Chociaż Św. Josemaría przebywał z innymi na spotkaniu, przerwał, prosząc o odmówienie z dużą siłą modlitwy maryjnej Memorare Św. Bernarda, za tego, kto w danej chwili potrzebuje w szczególny sposób tej modlitwy. Zdarzenie znalazło swoje odbicie w Bruździe, 472: „Świętych obcowanie: wyraźnie tego doświadczył ów młody inżynier, który mi powiedział: «Ojcie, tego a tego dnia, o tej godzinie modlił się Ojciec za mnie»”. Od tego czasu wprowadzono w Opus Dei zwyczaj odmawiania tej modlitwy codziennie, ile razy się da, za tego członka Dzieła, który najbardziej tego potrzebuje.

Pewnego razu pytano Álvaro, jak narodził się ten zwyczaj. Jego odpowiedzi zazwyczaj były lakoniczne i dosyć wymijające. Jest to zrozumiałe, dlatego że to właśnie on był bohaterem tej historii. W każdym

razie nawiązywał do wydarzenia w trzeciej osobie, aby dać świadectwo nadprzyrodzonych darów Założyciela, który „widział” sytuacje, jakie zdarzały się w odległych miejscach. W następujący sposób opisał to w wywiadzie udzielonym Cesare Cavalleri, opublikowanym w książce O założycielu Opus Dei :

„Także w tamtych latach [1939] zdarzyło się, że pewne dziewczyny intrygowały przeciwko jednemu z członków Dzieła. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że dokładnie w dniu, kiedy usiłowały postawić go w trudnym położeniu, nasz Założyciel, który był w towarzystwie kilku swoich synów, nagle zawołał: «W tej chwili nasz brat potrzebuje silnego wsparcia. Odmówmy za niego Memorare». Chcę uściślić, że zainteresowana osoba nie miała czasu, aby go o czymkolwiek poinformować. Niebezpieczeństwo z miejsca zostało zażegnane.”

Nie udało mi się dokładnie sprawdzić o jakie niebezpieczeństwo chodziło. Według opowieści nieżyjącego już Fernando Delapuate wojsko rozlokowało się w dawnym klasztorze w Olot, ale oficerowie mieszkali na kwaterach prywatnych. Álvaro przydzielono dom starszej kobiety, która miała córkę jedynaczkę. Jednakże – komentował Fernando – Álvaro zamierzał wyprowadzić się stamtąd jak najszybciej, bo wcale mu się nie podobało, że kiedy wracał zmęczony w nocy, obie czekały na niego, żeby porozmawiać z nim przy kilku filiżankach czekolady. Po otrzymaniu zezwolenia przeprowadził się do innego domu, gdzie mieszkali Eduardo Alastrué i Vicente Rodríguez Casado.

Wkrótce potem Álvaro definitywnie przeniósł się do Madrytu, gotów ze wszystkich sił pomagać

Założycielowi, Równocześnie kończył studia inżynierskie.

---

pdf | dokument generowany  
automatycznie z <https://opusdei.org/pl-pl/article/bp-alvaro-cz6-hiszpanska-wojna-domowa/> (15-04-2025)